

Wywiad z Wandą Urbańską

Jak pamięta Pani początek wojny?

Skończyłam dwanaście lat, kiedy zaczęła się wojna i pierwsze bomby spadły na moje rodzinne miasto, Wieluń. Byłam już przygotowana na pójście do szkoły, gdy wcześniej rano zaczęły padać bomby. W pośpiechu uciekaliśmy przed Niemcami z Wielunia przez Łowicz i Łódź aż pod Warszawę. Mieliśmy tylko to, co zdążyliśmy zabrać – prześcieradło, poduszkę, swoje osobiste rzeczy. Wędrowaliśmy kilka dni razem z ogromną masą ludzi, która uciekała w tamtym czasie. Niektórzy mieli na sobie tylko to, w czym uciekli. To był obraz okropny.

Dzieci spały przeważnie u gospodarzy, którzy dawali mleka do picia i coś do zjedzenia. Spaliśmy w stodołach na słomie. W międzyczasie Niemcy bombardowali wioski. Szliśmy szosą, a naraz pojawiały się samoloty zrzucające bomby. Wtedy uciekaliśmy w pole, chowaliśmy się przed bombami i ogniem, bo też ostrzeliwali.

I tak doszliśmy do Warszawy, ale wkroczyli Niemcy, więc trzeba było wracać z powrotem do Wielunia, bo nie mieliśmy się gdzie zatrzymać. Gdy wróciliśmy do domu, wszystko było rozwalone i wykradzione. Wieluń też ucierpiał, 1200 osób zginęło podczas bombardowania. Był tam olbrzymi szpital z czerwonym krzyżem na dachu. Szpital ten zbombardowali, zginęło tam bardzo dużo ludzi. Niemcy rozstrzelali na Rynku, robili łapanki, ludzie bali się chodzić po ulicach.

Początkowo do szkoły absolutnie nie wolno było nam chodzić, bo mogli to robić tylko Niemcy. Było nam bardzo ciężko. Mimo że miałam dopiero trzynaście lat, podjęłam pracę u Niemki – szorowałam podłogi, myłam, nawet prałam. Ta Niemka miała troje dzieci. Najgorszy był jeden chłopiec, który należał do Hitlerjugend i zawsze mówił: „du Schweine Polin, du musst mir Schuhe putzen”, czyli „ty świńska Polko, musisz mi szorować buty”. Pracowałam tam około kilku miesięcy, a później przyjechał mąż tej Niemki i cała ich rodzina dostała przeniesienie w poznańskie. Chcieli mnie koniecznie wziąć ze sobą, ale się nie zgodziłam. Wobec tego zabrali moją kartę do biura pracy i z transportem wysłali do Wuppertalu, dużego miasta blisko granicy z Francją.

Jak wyglądała podróż do Wuppertalu?

Pamiętam, że strasznie płakałam. Na dworzec odprowadziła mnie babcia, transport był już naszykowany i wszędzie na wyjazd czekało bardzo dużo kobiet. Wsiadłyśmy do pociągu, a w Berlinie była przesiadka. Dołączyli tam do nas wiele osób. Najczęściej z łapanek. Na ulicach Niemcy łapali i nieraz, jak kto stał, wrzucili do samochodu i powieźli nie wiadomo gdzie. Rodzina też nie wiedziała. Na dworcu w Berlinie, gdy czekałyśmy na pociąg, zaczął się nalot. Bałam się, że będą nas bombardować tak, jak Wieluń i zaczęłam strasznie płakać. A ponieważ byłam tam najmłodsza, panie dookoła zaczęły mnie uspokajać. W międzyczasie przyjechał pociąg z bardzo rannymi Niemcami,

chyba już z Rosji – bez rąk, bez nóg, to był obraz nędzy i rozpaczy. Była to okropna scena, ale cieszyłam się, że spotyka ich kara za to, co myśmy ucierpieli.

Podróż do Wuppertalu trwała kilka godzin, pilnowały nas Niemki. Siedziałyśmy wystraszone, w ogóle nie wiedząc, gdzie jedziemy i po co. Na dworcu w Wuppertalu kazali nam wysiąść i szłyśmy dosyć daleko do fabryki, nie wiedziałam wtedy jakiej. Wpędzili nas do czegoś w rodzaju olbrzymiej łaźni. Kazali nam zdjąć ubranie i chyba oddali je do dezynfekcji, bo gdy dostałyśmy je z powrotem, to śmierdziało. Później skropili nam głowo płynem odwszawiającym, chociaż wszy nie miałam. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem i po raz pierwszy widziałam starsze osoby porozbierane. Wokół nas chodzili mężczyźni, Niemcy.

Później spędzili nas do innej sali i poszłyśmy do miejsca, gdzie miałyśmy mieszkać.

Co to było za miejsce?

To był stary hotel. Położenie tego obozu wyglądało tak: obok tego hotelu, w którym mieszkaliśmy, płynęła rzeka, do której wpadały odpady z fabryki i ta rzeka cała się kotłowała. Mieliśmy tylko jedno małe wyjście, a nad rzeką szła kolejka, nazywała się Schwebbahn i było słychać świst lokomotywy. Ulica nazywała się Ludendorffstrasse. W pokojach stały trzypiętrowe łóżka, na nich słoma, poduszki wypchane sianem i stary koc. W pokoju mieszkało nas sześć – ja, dwie panie z mojego miasta i trzy z poznańskiego. Wszystkie dużo starsze ode mnie. Później uratowały mi życie. Czuwały nade mną. Później mamusia pisała do nich, żeby się mną opiekowały.

Te dwie panie, które najbardziej mi pomogły były bardzo pobożne. Były to tarsze panny, które nie wyszły za mąż. Bardzo skromne, bardzo kulturalne nauczycielki, ciągle odmawiały różaniec. Kiedy chciałam gdzieś wyjść, to pilnowały mnie, troszczyły się o mnie. Były dla mnie jak cała moja rodzina. Miałam szczęście, że dostałam się do tej celi.

To właśnie wtedy zabrali nam nazwiska i przydzielili numery. Mój był 960, pamiętam do dziś. Samych Polek było nas tam 1200. Tego dnia dostałyśmy coś do jedzenia, a na rano z powrotem do fabryki.

Jak wyglądało codzienne życie w obozie pracy?

Pracowałam na trzy zmiany, o szóstej zaczynała się praca. Rano dostawałyśmy trzy kromeczki chleba. Byłam ciągle głodna, płakałam z głodu, marzyłam o tym, żeby chociaż do syta zjeść chleba, ziemniaczków, cokolwiek. Dostawałyśmy więc ten chleb i jakiejś lury do picia i prędko musiałyśmy biec do pracy.

Gdy pierwszy raz znalazłam się w fabryce, był tam taki huk, że myślałam, że w piekle jestem. Jak jedna wołała drugą, to tylko krzykiem, inaczej się nie słyszało. To była olbrzymia fabryka wojskowa, produkowali tam nici do samolotów i grube szpule do okrętów. Uczyli nas najpierw wiązać te nitki, a potem każda dostawała maszynę w przydziale. Te maszyny były olbrzymie. Z jednej strony były kołowrotki, na które się nawijało, a z drugiej szpule. Musiałyśmy bardzo uważać, bo gdy szpula była zapełniona, to wyskakiwała i mogła uderzyć w głowę, poranić. Mnie też jedna uderzyła.

Było bardzo dużo wypadków. Raz, jedna Rosjanka z innego działu miała warkocze i wciągnęło jej te warkocze w maszynę, ręce też, miała potem zdartą całą skórę. Nie widziałyśmy tego, ale bywały straszne wypadki. Tam, gdzie pracowali Rosjanie, ludzie chodzili tylko w maskach, bo używano tam kwasów. Nieraz mieli powypalane rany.

To prawda, do najgorszych prac wysyłali Rosjan, ale Polacy też mieli bardzo ciężką pracę. A przede wszystkim, racje jedzenia były okropne. Często dostawałyśmy porcje i były w niej robaki, a człowiek musiał tę zupę zjeść. Zmiana kończyła się o drugiej po południu i trzeba było szybko biec po jedzenie.

Ponieważ byłam najmniejsza, nigdy nie mogłam zdążyć, zawsze byłam ostatnia, chociaż biegłam. Czasami chciałam jakąś dolewkę, a mówili mi „przecież już dostałaś”.

Naprzeciwko naszego hotelu mieszkały kobiety, Francuzki. Często obierałyśmy dla nich ziemniaki. Nasze były ledwie obrane, zresztą, człowiek cieszył się, jak dostał je choćby w łupinach. I gdy obierałyśmy dla Francuzów, to niektóre udało się schować pod pachę. Potem w fabryce mogłyśmy skorzystać, bo był tam taki wielki kocioł, w którym gotowała się woda. Wrzucałyśmy je do niego i jadłyśmy te na wpół surowe ziemniaki. To była dla nas wielka radość.

Jak wyglądały wasze kontakty z przedstawicielami innych narodowości, zwłaszcza Niemcami?

Oprócz Polaków, gdzie indziej byli też jeńcy francuscy i Rosjanie, ale miałyśmy z nimi mało kontaktu. Jeńcy francuscy dostawali duże paczki – czekolady, papierosy. Traktowano ich na innych warunkach. Nieraz, jak się mijaliśmy, to wsunęli nam do ręki trochę czekolady. Wiedzieli, że jesteśmy Polkami. Tam, gdzie używano kwasów, pracowali też Polacy, mężczyźni, ale nie miałyśmy z nimi kontaktu. Oni byli pod eskortą, a nas nikt nie pilnował, poza godziną powrotu. Nie szukało się kontraktu. Każdy był przygnębiony, myślał, co by tu zrobić, żeby się do syta najeść. Praca też była ciężka. Każdy leciał, jak najszybciej do lagru.

A z Niemcami to kontaktu nie szukaliśmy absolutnie. Myśmy byli patriotami, nikt nie chciał uśmiechać do nich. To byli nasi wrogowie, nie chcieliśmy rozmów z nimi. A Niemcy też bali się z nami utrzymać kontaktów. Może nie chcieli podejrzeń? Nie wiem, czego się bali. Były Niemki, które też pracowały, ale one raczej nas pilnowały, żeby, nie daj Boże, coś się nie zniszczyło.

Była taka kobieta, przeżywałyśmy ją „Niemczura”. Jak ktoś źle stał, to biła, kopła. Wszystkie stałyśmy na baczność, jak szła. Ale z drugiej strony, inna Niemka, po kryjomu – bo nie było wolno – czasami przechodziła i podkładała kanapkę, żeby można było zjeść. Bo byłam tam najmłodsza, drobna. Nie było tam dzieci w moim wieku, chociaż niektóre dziewczyny też były bardzo młode. Potem ciężko było ocenić, bo głód i praca robiły swoje.

Czy można było kontaktować się z rodziną?

Dostawałyśmy paczki z domu, ale często zapleśniałe, bo specjalnie Niemcy długo trzymali je u siebie. Utrzymywaliśmy też kontakt listowny. Mogliśmy pisać, ale też nie tyle, ile się chciało. Nikt tego nie sprawdzał, ale co mogliśmy napisać? Wszyscy się bali. Pisało się tak: „ptaki lecą i po drodze gubią jajka”, to był jakby szyfr, że bombardują. Każdy pisał tylko krótko – że dobrze się czuje, pracuje... Była wielka tęsknota. Spędziłam tam półtora roku i ta ciężka praca razem z tęsknotą były nieraz nie do zniesienia. Siedziałam czasem na oknie i patrzyłam na te chmury, które były nad Polską. Pamiętam, że ułożyłyśmy tam taką piosenkę:

Na koło górki – bo były tam góry – samo pustkowie,

W sercu apatia, smutek i żal

Że nam jest smutno, nikt się nie dowie

Jak nam jest smutno, jak nam jest źle

Stuk kołowrotek i świst lokomotywy

To pożegnalna nasza jest pieśń

Ach, Boże, daj nam powrót szczęśliwy

Powitać Polskę kochaną też

Jaką rolę w waszym życiu odgrywała wiara?

Do kościoła nie chodziłyśmy, bo nie mogłyśmy. W niedzielę się pracowało. Bardzo się modliłyśmy.

Ludzie byli pobożni, uprzejmi dla siebie. Nieraz pokłócili się między sobą, ale raczej czuło się patriotyzm, wielki patriotyzm. Nie śpiewaliśmy patriotycznych pieśni, bo też mogli być między nami jacyś Volksdeutsche.

Jak wyglądały wasze Świąta?

Wigilie były bardzo smutne. Nie dostawałyśmy wtedy wolnego, w ogóle nie miałyśmy wolnych dni, bo koszt zatrzymania takich maszyn był ogromny.

Dostałyśmy wcześniej opłatek w kopercie z domu. Nie było jedzenia, nic takiego. Jaka mogła być wigilia? Pamiętam, dali nam jakąś brukiew, okropne jedzenie i każdy coś tam miał, bo rodzina starała się wysłać trochę tych paczek przed Świątami. Chodziliśmy po pokojach, składałyśmy sobie życzenia. Był wielki płacz i wielka rozpacz.

Wtedy zaczęły się amerykańskie naloty. Pamiętam, że w jedną Wigilię usłyszałyśmy warkot samolotów. Miałyśmy iść do schronu, ale wyszłyśmy na podwórko. Śpiewałyśmy chórem kolędy, bo myślałyśmy, że usłyszą nasz polski śpiew.

Jak wydostała się Pani z obozu?

Zaczęły się bombardowania. Całe szczęście, że na nasz obóz spadła bomba paląca, nie burząca. Byliśmy na dole w schronie, słychać było różne narodowości. Drzwi były zamknięte od zewnątrz i kobiety żelaznymi prętami wyważyły te drzwi. Wszystko się paliło, bo rzucali fosfor, a on pali nawet żelazo. Jedna drugiej gasiłyśmy włosy, bo się paliły. Z góry leciały belki. Strasznie dużo kobiet było zatratowanych, bo leciały jedna przez drugą. A mnie ciągnęły te moje dwie panie, dzięki nim przeżyłam. Słyszałyśmy, jak z okien skakali Niemcy, wołali „hilfe, hilfe!”.

Dzień wcześniej śniło mi się, że świeci olbrzymie słońce, a ja biegnę schylona tak właśnie było. Uciekliśmy w góry, bo Wuppertal było pięknym, dużym miastem otoczonym górami. W górach było dużo różnych narodowości, bo wszyscy uciekli od płomieni. Wielu było w okropnym stanie, mężczyźni w kalesonach, kobiety w koszulach. Ja, kiedy poszłam do schronu, miałam ciepłą koszulę, ciepły płaszcz i koc i to tylko mi zostało. Reszta się spaliła. Jak spojrzeliśmy w dół na miasto, to był jeden płomień, jakby świeca się paliła.

Nie pamiętam ile dni chodziliśmy po górach. Mężczyźni chodzili na pole wykopać kartofle i gotowaliśmy je na ceglach. Niemcy zapowiadali, że jak ktoś będzie szabrował ze sklepu, to zastrzelą, więc baliśmy się. Dzieliliśmy się tym, co kto zdobył, byliśmy bardzo zwarci. Każda narodowość trzymała się razem. I my, Polacy, błąkaliśmy się po tych górach głodni. To była jesień 1942 roku, a trafiłam tam chyba na początku 1941.

I wtedy Niemcy zaczęli nas zbierać, ogłosili, że mamy zgłosić się do fabryki. Wszyscy Polacy z gór szli do fabryki. Jak już mówiłam, była ogromna, samochody jeździły po niej jak po ulicach i pożar nie zniszczył jej tak bardzo. Spędzili nas do olbrzymiej hali, dostaliśmy posłania ze słomy i jedzenie i musieliśmy czyścić maszyny. W międzyczasie mężczyźni budowali nam na górze lagry z desek. Niemcy szybko to organizowali, mieli dużo jeńców do pracy.

I wtedy te dwie panie, które były ze mną powiedziały, że musimy uciekać, teraz jest okazja. Tyle zginęło ludzi, Polek, nie wiedzieli, czy zginęłyśmy, czy żyjemy. Umiały dobrze po niemiecku, ja nie. Wykupiły trzy bilety. I poszłyśmy na dworzec. Wsiadłyśmy w pociąg do Krotoszyna lub Koźmina, już nie pamiętam. Mężczyźni kontrolowali, ale na kobiety nie zwracali uwagi. Nakryłam się płaszczem, że niby śpię i jedna siadła koło mnie, a druga w drugim wagonie, żeby się rozdzielić.

Jak wyglądało Pani życie w Polsce po powrocie z obozu?

Przyjechaliśmy do rodziców tych sióstr. Najpierw był strach, a potem wielka radość. Dali nam coś do picia, chleb do jedzenia – Boże, raj, nasz chleb! Chyba ze smalcem, bo u nich też była bieda. Ale teraz, co robić? Polacy byli między sobą tacy zvarci, że ktoś z ich rodziny napisał do Wielunia, że u nich jestem. Moja Mama przysłała kartki żywnościowe.

Byłam tam krótko. Nie wychodziłyśmy na powietrze absolutnie, byłyśmy uciekinierkami. Znajomi chodzili na dworzec, gdy Gestapo było na dworcu, to nie mogłam tam pójść. W końcu przyjechałam do Wielunia i z dworca dojechałam dorożką do domu. Już wiedzieli, że przyjadę i czekali na mnie. Przeważnie wychowywała mnie babcia i ona ukłękła przede mną, jak mnie zobaczyła. Strasznie płakałyśmy.

Ale cóż? Nie mogłam się ujawnić. Wszędzie było mnóstwo szpiegów, Volksdeutschów. Pięć miesięcy siedziałam w domu – a mieszkaliśmy z cicią – w piwnicy albo na strychu. W Polsce były takie domy, że w kuchni można było odchylić klapę i zejść po drabinie do piwnicy.

Raz szedł gestapowiec, to ciocia dała mi chustkę i koszyk i mówi „idź, zanieś to tej i tej pani”, a ja wyleciałam do ogrodu, duży był i ukryłam się tam. Gestapo przychodziło dwa razy, pytali czy piszę, czy żyję i co się ze mną dzieje – czy nie przyjechałam? Ale wtedy ciocia i babcia w płacz, że nie mają ode mnie wiadomości. Niemcy nie wiedzieli, czy zginęłam, czy może żyję. Tylu ludzi spalił fosfor. Był popłoch, nikt nie rozróżniał ciał. Byli pewni, że nie przeżyłam tego bombardowania.

Jak trafiła Pani do Wrocławia?

Nie mogłam wyjść, musiałam siedzieć w piwnicy. Niechby mnie kto zobaczył, to by mnie rozstrzelali. Ja miałam dosyć tego życia w strachu, rodzina usychała ze strachu. To było okropne.

Moja ciocia była tłumaczką w Landracie, czyli w urzędzie. I zmówiła się z takim Niemcem, urzędnikiem – a bywali też dobrzy Niemcy, nie wszyscy byli źli. Moja kartoteka była w urzędzie pracy, wiedzieli, że wysłano mnie do obozu. I on za łapówkę, bo też lubili łapówki, wyjął moją kartotekę stamtąd i powiedział, że wyśle mnie do Wrocławia, do swojego znajomego.

Miałam więc zniszczone dokumenty i ciocia przysłała do mnie, mówiąc: „Masz tu adres, w tym i w tym dniu jedziesz do Wrocławia, do Breslau”. To było półtora roku przed zakończeniem wojny.

Pojechałam i trafiłam na Dorotheengasse, koło kościoła św. Doroty, blisko Opery. Myślałam, że będę sprzątaczką. Ktoś pokazał mi drogę, a to była restauracja „Weinstube Regina”. Mój szef nazywał się Loye/ Löhe. Dałam mu swoje skierowanie.

A tam patrząc, kilka lat starsza ode mnie kobieta obiera ziemniaki. I ona pyta, czy jestem Polką. Padłyśmy sobie w ramiona i obie płakałyśmy. To była Wacia. Trafiła do Wrocławia też z Wielunia, chyba z jakiejś łapanki.

Ten Lohe był naprawdę dobrym człowiekiem i bardzo bogatym. On nigdy nie krzyczał, a nawet nam współczuł. Na Boże Narodzenie mnie i Waci dał po butelce wina.

Jak wyglądało życie i praca w restauracji?

Restauracja zajmowała parter, a troszkę niżej była Zigeunekeller, piwnica cygańska. Tam było zupełnie jak w taborze cygańskim. Żona Lohe była plastyczką i pięknie malowała. Była też piękna i mówiła mi: „Nie żeń się z bogatym, bo w łóżku będzie tylko liczył zyski!”. I w piwnicy na ścianach były cygańskie obrazy, obrusy cygańskie, a w kącie taki podświetlany kocioł.

Lohe miał też olbrzymią piwnicę win, do której wchodziło się przez podwórko. Pilnowało tego małżeństwo. Były tam setki poukładanych jeden na drugim tokai, takie zapleśniałe butelki. Na

stojakach stały wielkie kotły, jak do piwa, na ponad 1000 litrów i z nich ta Niemka z mężem rozlewali wina do butelek.

Tam pracowałyśmy z Wacią. Mieszkałyśmy w bramie obok, na czwartym piętrze w małym pokoiku. Była tam kupa pluskiew, dwa żelazne łóżka, wiadro, miska, jakaś szafa... Ile człowiek miał tych rzeczy?

Nie pracowałyśmy bardzo od rana, piwnica była otwarta tylko do dziesiątej wieczorem. W niedzielę miałyśmy trochę wolnego, bo do pracy trzeba było stawić się po południu. Praca nie była aż tak ciężka. A przede wszystkim nie było głodu.

W niedzielę miałyśmy trochę wolnego, to od razu na „Oświc” (niem. Oswitz, Osobowice)! Tramwajami mogłyśmy jeździć tylko na pomoście, nie w środku, bo miałyśmy znak „P” na ubraniu. Co innego Czesi, których też we Wrocławiu było dużo – byli bardzo dobrze traktowani, mogli jeździć w wagonie, dostawali inne racje żywnościowe...

Było takie powiedzenie: „*Oświc nęci, Oświc kusi, iść na Oświc każdy musi*”. Tam spotykały się różne narodowości, ludzie kombinowali, wymieniali się kartkami. Najwięcej było tam Polaków, którzy pracowali we Wrocławiu w fabrykach i prywatnie, jako służący.

Jak wyglądały wasze kontakty z innymi pracownikami restauracji?

Pracowali tam Niemcy, dwóch kelnerów i dwie kelnerki. Była też gospodyni. Nazwałyśmy ją Goryl, bo była obrośnięta, podła i mściwa Niemczura. Panna z dwojgiem dzieci. Nie biła nas, ale krzyczała i rąbała ręką o stół. Widać było, że nas nienawidziła.

Zawsze chodziłam palić do piwnicy, by nie zgasł piec. W środku było dużo dymu. Raz Goryl specjalnie zamknęła mi drzwi, chciała, żebym się zaczadziła. Ale Wacia zaczęła zastanawiać się, czemu mnie tak długo nie ma. Była tam kelnerka Niemka, której mąż zginął na froncie, miała dwójkę dzieci. Wacia spytała ją, co się ze mną dzieje. I poszli sprawdzić, gdzie jestem. A ja byłam już prawie zaczadzona. Chciała, żebym zginęła.

Jeśli chodzi o kelnerki i kelnerów, to miałyśmy z nimi dobre stosunki. Żalowali nas. Te kelnerki, to były takie miłe kobiety. One mi tak współczuły. Uratowały mnie, a gdy im opowiadałam o sobie, to nie wierzyły, że Niemcy robią tak straszne rzeczy.

A później, jak szedł front i Niemcy się przestraszyli, to nas traktowali po prostu cudownie.

Jak wyglądało życie Polaków we Wrocławiu w czasie wojny?

Jednego razu Wacia dostała przepustkę, że może pojechać do Wielunia. Na dworcu we Wrocławiu podszedł do nas gestapowiec, wylegitymował i zabrał nas na komendę za to, że mówiliśmy po polsku. Kazali nam całą noc dźwigać ciężary, skrzynie. A później zadzwonili do szefa. Przyjechała po nas Goryl, ale jakoś nic nam nie zrobili.

Potem Wacia wyszła za mąż za Polaka i wyprowadziła się, bo dostała mieszkanie.

Innym razem byłam już sama na ul. Świdnickiej. Blisko był zakład krawiecki, gdzie wielu Polaków szyło mundury. Zawsze, jak ktoś zobaczył drugą osobę ze znakiem „P”, to podchodził i rozmawialiśmy na „ty”, nawet z nieznajomymi. Podszedł do mnie jeden Polak, rozmawialiśmy. Nagle pojawił się gestapowiec, a ten Polak miał w aktówce szpulę ze szwalni. Zaraz go zabrali, nie wiem co się z nim stało. Prawdopodobnie już nie wrócił do pracy. Pewnie zabrali go do obozu.

A u mnie w pokoju była rewizja. Ale nic tam nie było. Zabrali mnie na komendę, postawili twarzą do ściany i machali rewolwerem przed oczami, straszili mnie. Nogi miałam jak z gumy. Ale potem przyjechał szef, Lohe, i powiedział: „Wanda, ostatni raz, ja już następnym razem Cię nie wykupię”.

Jakie były oznaki zbliżającego się frontu?

Na Oświęcu były pogłoski, że już od Polski idą wojska, że wojna niedługo się skończy. W nocy zaczęły rozlegać się odgłosy armat. Niemcy mówili, że to pęka lód na Odrze, bo była wtedy zima. A tu zbliżał się front.

Kiedys Lohe zawołał mnie i mówi: „Wanda, nie będziesz mogła pojechać do swojego miasta, bo już wkraczają tam Rusczy”. Ja udałam zmartwioną, a serce mi rosło, że wyzwolenie było tak blisko. Potem już coraz bardziej słychać było bomby.

Tak bałam się huku, że później poprosiłam szefową, bym mogła spać na dole, w restauracji. Na górce bałam się bombardowań. I ona powiedziała, że dobrze, zamykała mnie na klucz, a mieszkała blisko. W międzyczasie front zbliżył się do przedmieść Wrocławia. W nocy słychać było olbrzymie huki. Nie mogliśmy palić świeca. Miałam świecę i biegałam od stołu do stołu, zatykałam usta i uszy. Byłam sama jedna w tej wielkiej restauracji, a wokoło niesamowite huki!

Potem uprosiłam, żeby mnie nie zamykała. Zgodziła się, bo tam nikt nic nie ukradł. Niemcy byli tacy, że drzwi mogły zostać otwarte, nikt by nic nie wziął. Bombardowali wtedy ul. Legnicką i ja biegałam, bo na Placu Solnym był schron. Zbierali się tam ludzie, dużo wojska. Ja biegałam tam, byle nie być samej, mieć mniejszego stracha.

Jednego razu, ta krata od schronu była zamknięta, nie mogłam wejść do środka. A z góry leciały bomby, na Placu Solnym wypadały szyby, a ja siedziałam obok. I, taka przyciśnięta, modliłam się i przeczekałam, aż samoloty odleciały.

Innym razem dostaliśmy duży przydział jedzenia, takie wiaderko mrożonych żółtek jajek. I Goryl mówi do mnie, że robimy naleśniki na tych jajkach. Ja zrobiłam ciasto, pierwszy naleśnik się nie udał, więc Goryl kazała mi go zjeść. Jem, a tu w restaurację rąbnął pocisk. Zrobiło się czarno, rozprysły się wszędzie sadze, bo palono węglem. W środku było dużo wojska, cały samochód wojska bawił się na dole z kobietami.

Z góry ostrzeliwali restaurację ciężkimi działami. Wszyscy lokatorzy uciekli do piwnicy. Wcześniej Niemcy ewakuowali kobiety i dzieci, żona mojego szefa z synem pojechali do Berlina. Więc zostali sami starzy ludzie i ci, co nie chcieli wyjechać. Przeczekaliśmy te pociski.

Świtem wchodzimy, a tam niesamowite gruzy w miejsce kanap. Ci żołnierze, tak jak wcześniej trzymali swoje dziewczyny, tak leżeli ranni. Na ulicy czekał ich samochód. Rannych zdążyli uprzątnąć, ale wszędzie były głowy, nogi, krew, niesamowita masakra. Było to zimą, cztery miesiące przed zakończeniem wojny.

Jak wyglądało Pani życie po zniszczeniu restauracji?

Szef wziął ze czterech Polaków i kazał im wynosić wino w butelkach do drugiej bramy, gdzie mieszkał, pakować do skrzynek. I gdy dom ostrzelali z armat, wino lało się po schodach... Restauracja była cała zburzona, wszystko zniszczone.

Życie przeniosło się do piwnic, ale niektóre sklepy były jeszcze otwarte. Bombardowali nas, ale Rusczy jeszcze nie weszli. Ja w piwnicy siedziałam ze starymi Niemcami. Nieraz dawali mi kartki, bo byłam teraz „słodką Wandą”. Między nalotami szłam do sklepu i kupowałam im jedzenie, trochę dostawałam. Tak to trwało kilka dni. Byli tam sami starszycy. Młodzież wyjechała.

Tak mi się wydaje, że ci starsi mieli żal za wojnę – bo stracili dzieci. Ale młodzi byli zawzięci. Raz, w piwnicy, widziałam rodzinę, dwójkę starszych Niemców. Ona skulona, trzęsąca się, on w trochę lepszym stanie. Był pożar, a oni w piwnicy obok mieli cały swój dobytek, trzęśli się o niego. Nie mogli

wyść z tej piwnicy, a mnie było ich żal, ciągle mam ich w oczach.

Pomogłam tym starym Niemcom wydostać się na ulicę. I ona rozpaczalam dwóch synów straciła w Rosji. Ci ludzie współczuli mi, jak opowiadałam, skąd jestem. Pytali: „Ty, taka młoda, czemu nie jesteś w domu?”

Jak wyglądało życie w oblężonym Wrocławiu?

Zbierali nas do okopów, zbiórka była wcześniej rano. Dostawaliśmy szpadle i szliśmy gęsiego, bo ostrzeliwali ulice. Musieliśmy szybciotko przeciskać się przez mury, Niemcy również, poza starymi ludźmi. Szliśmy na Dworzec Główny, trzeba było bardzo uważać, kiedy biegło się przez ulice, bo nie było wiadomo, skąd padnie pocisk.

W tunelu, po jednej i po drugiej stronie leżały stopy niemieckich żołnierzy w mundurach poukładanych jak kartofle. Przywieźli ich z frontu. To był okropny obraz. Zrywało się na dworcu szyny i kopało okopy, doły. Nieraz było słychać takie „czuczuczucu” samolotów, a my siedzieliśmy skurczeni w tych okopach.

Pamiętam, że moja znajoma, Niemka, była strasznie ranna w piersi. Poznała mnie i wołała. Miałam chustę i założyłam jej na piersi. Dużo ludzi zostało w tych okopach...

Pamiętam, jak bombardowali Pedet, kiedy się palił. Uciekaliśmy z jednej piwnicy do drugiej. Między piwnicami były przejścia, którymi można było uciekać, nie tylko górą, ale i dołem.

Trzy i pół miesiąca kopaliśmy te okopy. Potem byłam na Placu Grunwaldzkim. Przygotowywaliśmy lotnisko, opróżnialiśmy je, bo Niemcy chcieli stamtąd uciec. Nad nami stali żołnierze, dzieci jeszcze. Mieli tak po piętnaście lat, karabiny, za długie rękawy mundurów popodwijane...

...Aż weszli Rosjanie.

Przenieśli nas wtedy, kilka osób, blisko frontu, do okopów. Tam pracowaliśmy w kuchni. Zbliżał się front. Mieliśmy taki olbrzymi kocioł z winem i Niemcy, którzy szli na front pili z niego łyżkami wazowymi. Szli walczyć kompletnie pijani.

Kapitulacja wyglądała tak, że nie wolno było strzelać. Cisza była nie do zniesienia. Niemcy poddawali się, przez mikrofony słychać było komunikat po niemiecku „proszę oddawać broń” i oni rzucali broń na kupy. Gdyby ktoś strzelił, to byłby rozstrzelany. Bo przecież Berlin się poddał, a Wrocław jeszcze nie. Zrozpaczeni Niemcy płakali, rzucali się na ziemię. A ja naturalnie się cieszyłam.

Postanowiłam pójść z Sępolna do piwnicy, w której mieszkałam, bo miałam tam trochę rzeczy. I sama jedna szłam całą noc z Sępolna. Rano obudziliśmy się, a tu Ruscy w piwnicach.

To był obraz nędzy i rozpacz. Przyjechali z frontu, brudni, zmęczeni. Pamiętam te wozy z sianem, małe koniki, skośnookich Mongołów o ogolonych głowach. Niesamowity smród. Przez dwadzieścia cztery godziny wolno im było robić, co chcieli. Niesamowicie gwałcili. Widziałam, jak zgwałcili Goryla, tę gospodynię z restauracji. Mnie też chcieli, ale ja mówię, że jestem Polka. To popchnął mnie, wziął moją walizkę. Miałam tam zegarek, lornetkę, kosmetyki, ciuszki... Wszystko przerzucili, pozabierali i nie było nic do gadania. Potem przyszło dwóch wyższych rangą wojskowych, a ja zaczęłam płakać, że mi wszystko ukradli. Żeby ich ukarali. Ale nie mogli, bo oni byli tacy podobni, jeden do drugiego.

Chciałam koniecznie jechać do Polski. Powiedzieli mi, że pierwszy pociąg z Wrocławia stoi na peronie. Obiecali, że mnie do niego odprowadzą i rzeczywiście, przyszli po południu. Wzięłam walizkę i torbę z tym, czego mi nie ukradli. Teraz myślę, że byłam wtedy odważna, tak jechać z nimi sama. Ale bardzo chciałam do domu. Wzięli mnie do samochodu i nakryli płaszczem, bo było tam dużo wojska, żeby nie widzieli, że jedzie z nimi kobieta. Ale i tak dojechałam tam cała podszczypana przez żołnierzy.

Na peronie było już pełno Ruskich, którzy przyjechali z frontu, w bydlęcych wagonach. Bez rąk, bez nóg. W wagonach były takie pasy, jak kto miał ręce, to się na nich podnosił i wstawał. Już zaczęli tam zbierać się Polacy. Z nadzieją, że wrócą do Polski.

I wtedy zrobiłam największą głupotę.

Na niebie leciały ruskie samoloty. Na Ruskich mówiło się Iwani, a na Niemców – Germani. I ja pomyliłam się, zamiast cieszyć się, że to Iwani, zaczęłam machać ręką i wołać: „Germani, Germani!”. Złapało mnie dwóch Ruskich, mówiąc, że jestem Niemką. Prowadzili mnie za szyję na rozstrzelanie. Nogi miałam jak z waty i już czułam, że teraz będę rozstrzelana.

Ale szedł tam wojskowy, bardzo wysoki rangą, bo wszyscy się przed nim prężyli. I on zatrzymuje się, a ja płaczę. Powiedziałam mu, że pomyliłam się, że jestem Polką i, że pracowałam u Niemców.

Pokazałam mu swój znak „P” i on zlitował się nade mną.

Wziął mnie do swojego wagonu. Miał tam samowar, otworzył konserwę, poczęstował mnie chlebem i konserwą. Pokazywał mi zdjęcia z Leningradu (dziś: Petersburg, przyp. J.B.), zginęli tam jego żona i dwóch synów. Pracowałam tam w kuchni polowej, razem z Ruskimi. Jechaliśmy kilka nocy, co jakiś czas był postój, żeby nakarmić rannych.

Jeden Tatar wziął mnie do któregoś wagonu. To było straszne. Paliła się tam świeczka, a ranni myśleli, że jestem pielęgniarką i wołali: „Siostró, siostró!”. Ja, skulona, niesamowicie się bałam. Jeden chciał „pokuric”, zapalić, inni chcieli, żeby poprawić im bandażę... Przy wagonach były prowizoryczne drabinki, którymi schodzili, żeby się załatwić. Nieraz stał ich rząd, wielu tylko z jedną nogą. Okropny widok.

Jak wyglądał wjazd do Polski?

To był maj, słońce, jechaliśmy z otwartymi drzwiami, bo było ciepło. Byłam w wagonie z rannymi, nagle wychylałam się i słyszę polską mowę. Boże kochany, to ja już jestem w Polsce! Zobaczyłam naszych polskich żołnierzy z orzełkami i w rogatówkach (czterokątnych polskich czapkach wojskowych, przyp. J.B.). Wyrzuciłam walizkę, wyskoczyłam na peron. Ten wojskowy, który uratował mi życie nastął na mnie ludzi, by złapali mnie i wciągnęli do pociągu.

Ale ja zaczęłam strasznie krzyczeć, że przyjechałam z Wrocławia. Kolejarze polscy otoczyli mnie i zabrali z pociągu. Byli ciekawi, bo myśmy pierwsi wracali z Wrocławia. A pociąg powoli rozpędził się i pojechał.

Potem kolejarze twierdzili, że ten wojskowy wywiózłby mnie do Rosji. I dlatego był dla mnie taki uprzejmy. Był dużo ode mnie starszy, miałam osiemnaście lat, a on chyba ponad czterdzieści. Ale też uratował mi życie.

W domu rodzinnym byłam krótko, bo nie układało mi się z ojczymem. Więc wróciłam do Wrocławia, polskiego Wrocławia. Wciągnęłam się na trzy miesiące do policji. Ponieważ strzelanie mi nie szło, po ćwiczeniach spuchłam i dostałam wysokiej gorączki, to stałam na drogowskazach. Poznałam tam mojego męża. Później wystąpiliśmy z policji.

Po wojnie mogłam być bardzo bogata, ale kto by tam pomyślał szabrować, nigdy nie byłam pazerna. Niektórzy szabrownicy bardzo się obłowili. Bo po wojnie to wszystko stało otworem – piękne futra, kryształ, serwisy. Niemcy rabowali przecież z całej Europy. Np. widziało się bielskie materiały, piękne drogie obrazy. Ale ja, młoda zakochana dziewczyna, nie myślałam o tym.

Czy uważa Pani, że Niemcy ponieśli karę za krzywdy, które was spotkały?

Nie uważam, by do końca odpowiedzieli, za to, co nam zgotowali. Chociaż też dostali za swoje w

czasie oblężenia. Często na ulicach leżały nie sprzątane ciała. Ci starsi nauczyli się pokory, bo ich dzieci zginęło okropnie dużo. Przecież do wojska brali po prostu dzieci.

Zmarnowałam cztery najlepsze lata w życiu. Jeśli chodzi o rekompensatę, to dostałam bardzo mało, bo kwoty były zrównywane. Nie miało znaczenia, czy ktoś był w obozie rok czy cztery lata. Czuję, że zostaliśmy bardzo pokrzywdzeni. Nie ma żadnego uznania, że było się w obozie, a przecież panował tam taki straszny głód... Tyle, że dostałam krzyż z mojego „Klubu Ludzi ze Znakiem <P>”.

Rozmawiała: Joanna Bolanowska